

podróże

Kosmici na rowerach

AFRYKA NOWAKA | PIOTR SZYMANIAK

W słońcu i deszczu, po drogach, bezdrożach, przez busz i pustynię. Wczoraj upłynął 450. dzień sztafety przez Afrykę. Warszawiacy, którzy w niej uczestniczyli, myślą o jednym – jak wrócić na Czarny Łąd



*Codzienne relacje uczestników podróży zamieszczane są na stronie www.afrykanowaka.pl



*Pustynia nie przerażała podróżujących tak bardzo jak kierowcy na egipskich drogach

Kazimierz Nowak w latach 30. ubiegłego wieku przemierzył Czarny Łąd z północy na południe i z powrotem. Rowerem, pieszo, konno, czółnem i na wielbłądzie. Podczas trwającej pięć lat podróży fotografował, pisał reportaże, w których uchwycił ówczesną Afrykę. Przez 70 lat świat nie wiedział o jego istnieniu. Sytuację zmieniło wydanie książki „Rowerem i pieszo przez Czarny Łąd”, w której Łukasz Wierzbicki, któremu o podróżniku opowiedział dziadek, zebrał rozproszone, zapomniane reportaże. Od ponad roku jego śladem podąża sztafeta rowerowa, w której biorą udział zafascynowani jego postacią podróżnicy.

Postanowiliśmy powtórzyć trasę Kazimierza Nowaka, by spopularyzować jego dokonania. Chcemy przemierzyć Afrykę dokładnie jego śladami – mówi Zbyszek Sas, jeden z inicjatorów projektu „Afryka Nowaka”.

Przez dwa lata ponad 100 uczestników pokonało 40 tys. km, odwiedzając 18 państw na trasie z Trypolisu do Przylądka Igielnego i z powrotem do Algieru. Na razie poruszają się rowerami, ale przed nimi etapy, podczas których wzorem Nowaka będą podróżować pieszo, łądzką, na wielbłądach i konno.

Wyruszyliśmy 4 listopada 2009 r. spod domu Nowaka w Boruszynie do Poznania, dokładnie 78 lat po nim. Dzień

później byliśmy w Trypolisie w Libii – mówi Zbyszek Sas. Wraz z trójką kolegów, wyposażeni w rowery Brennabor – jednośladowców tej samej firmy używał podróżnik – rozpoczęli w pierwszy etap przygody.

700 km przez Saharę

– Jechaliśmy prawie 700 km przez bezludną pustynię – opowiada Sas. – Sahara jest bardzo różnorodna i tak naprawdę tylko przez trzy dni nie udało się pedałować przez wysokie i piaszczyste wydmy. 60 km musieliśmy pokonać pieszo, prowadząc rowery.

Co jeszcze doskwierało na pustyni? Za dnia upały, w nocy przymrozki i wiatry zrywające namioty. „Po co mordujemy własne ciała i umysły w zderzeniu z nieustępliwą naturą? Po co marzniemy wieczorami na kość – jak w epoce lodowcowej? Po co popękane usta i poobcierane stopy? Po to, żeby zrozumieć istotę wielkości czynu nieprawdopodobnego w swym wymiarze” – pisze w relacji zamieszczonej na stronie www.afrykanowaka.pl Piotr Sudol, jeden z pomysłodawców sztafety. – W naszych umysłach rozszerzyliśmy zakres pojęcia „beźmiar po horyzont” – dodaje.

Jak Afrykanie odnosili się do podróżników? – Spotykaliśmy się z zainteresowaniem połączonym z chęcią niesienia pomocy – mówi Sas. – Ludzie pytali nas, czy mamy wodę i gdzie przemocować.

Nieprzyjemne incydenty były rzadkością. – Na północy Egiptu zostaliśmy obrzucani kamieniami przez dzieci. Policja ukryła nas w jakiejś kawiarence, bo biegła za nami cała szkoła – mówi Piotr Romejko, student geografii na UW.

By zbierać pieniądze na podróż do Afryki (uczestnicy samą ją opłacają), Piotr przez całe poprzednie wakacje jeździł rikszą po Krakowskim Przedmieściu. – Jak zapamiętałem Egipt? Duże bezrobocie, poczucie desperacji w ludziach, którzy podchodzili do nas jak do worków z pieniędzmi. Cóż, w końcu wyglądaliśmy trochę jak kosmici. Kaski, obcisłe kolarki i błyszczące rowery – to mogło szokować.

Przez większość obszaru Egiptu przejechali w asyście policji. Dla ich bezpieczeństwa – musieli być pod obserwacją. – Snuli się za nami, jadąc 20 km/godz. przez 2 tys. km – mówi Romejko.

Mimo że na pustyni nie było łatwo i przyjemnie, lepiej wspominają przedzieranie się przez piaszczyste wydmy niż jazdę po drogach. – Egipt ma drogi lepsze niż Polska, z tym że jeżdżą po nich jak wariaci. W nocy, będąc w opłakanym stanie samochodu pędzą bez włączonych świateł. Jedyńm instrumentem porozumiewania się na drodze jest klakson. Uszy puchły – opowiada rowerzysta. Inna sprawa, że jedną z kraks spowodowali sami... policjanci, którzy potracili



*Trasa sztafety wiedzie przez Libię, Egipt, Sudan, Etiopię, Ugandę, Tanzanię, Zambię, Zimbabwe, RPA, Namibię, Angolę, Kongo, Republikę Środkowoafrykańską, Czad, Niger i Algierię

jednego z uczestników wyprawy. Szczęśliwie skończyło się na potłuczeniach i obtarciach.

Jednak w przypadku Egiptu największe minusy nie przyszły z powodu plusów – piękna Dolina Nilu, malowniczej pustyni, dobrego jedzenia: kawy z kardamonem, pysznej herbaty, falafeli i potrawy z makaronu, ryżu i kasz z sosem – koszeri.

W pamięć zapadły także kontakty z Nubijczykami na południu kraju. – Ci są o wiele bardziej otwarci, przyjaźni, „wychyloutowani”. Kazimierz Nowak pisał, że strasznie bolała go głowa, kiedy Tuaregowie zapraszali go na haszysz. Nas głowa bolała po spotkaniach z Nubijczykami. Zostaliśmy też zaproszeni na arabskie wesele.

Kontynent wielu twarzy

Otwarcie byli także mieszkańcy Zimbabwe. – Jechaliśmy tam w ciemno, nie wiedząc, czego spodziewać się po kraju zniszczonym przez klikę dyktatora Mugabego – opowiada Norbert Skrzyński, który brał udział w etapie dziewiątym wiodącym przez terytorium Zimbabwe i RPA. – Może nie ma anarchii, ale czuć wszechobecny strach ludzi obawiających się o przyszłość. W sklepach były tylko podstawowe produkty żywnościowe, takie jak makaron czy ryż. Dzieciaki prosiły, by przysłać im buty, podając od razu rozmiar. Ten kraj nie jest w stanie się sam podźwignąć. Mimo to wszyscy odnosili się do nas z niesamowitą życzliwością – mówi Skrzyński.

Namioty rozbijali przy szkołach, w murzyńskich wioskach czy przy barakach robotników drogowych. – Unikaliśmy nocowania w szczerym polu. Jednak nie z obawy przed ludźmi – przyznaje Norbert.

Na początku ekipa jechała przez rejony przylegające do parku narodowego. W trakcie kilkudziesięciokilometrowego odcinka wiodącego przez busz rowerzystów zastała noc.

– Gdy świeciliśmy latarkami, w buszu wokół nas pobłyskiwały dziesiątki zwierzęcych ślepi, w różnych rozmiarach. To dawało adrenaliny. Raz nawet coś dużego i głodnego na nas ryknęło. Zmotywowało nas to ogromnie – co sił w nogach pchałyśmy rowery 5 km po pia-

reportaż

Strażnicy pamięci

ARCHEOLOGIA MIEJSKA | JOLANTA GAJDA-ZADWORNA, MACIEJ MIŁOSZ

Mury getta dzieliły miasto na dwie części. Bariera nie była szczelna. Przemycano, co się dało. O śladach przeszłości we współczesnej Warszawie mówi książka Jacka Leociaka

Szmuglowali wszyscy moi sąsiedzi – opowiada Janina Dziekońska (rocznik 1923), która na Starówce mieszka od urodzenia. – Byłam młoda, to się do tego nie pchałam. Ale widziałam, jak przetrucano worki z żywnością przez mur. I jak policjant brał pieniądze za to, by nie przeszkadzać – wspomina kobieta. – Innym razem spotkałam znajomego z workiem na plecach. Widzę, że on jakoś dziwnie się męczy. A przecież ziemniaki nie są takie ciężkie. Zdradził, że ma broń dla getta. Stoimy przy ul. Freta, równoległej do Koźlej. Sąsiadujące domy należały do dwóch zupełnie różnych światów.

– Miejsca, gdzie granica biegła między posesjami, były idealne do szmuglu – wyjaśnia historyk Jacek Leociak, którego książka „Spojrzenia na warszawskie getto” ukaże się w najbliższych dniach.

Autor szuka śladów nieistniejącego miasta. Przywraca je pamięci.

Okno dla gojów i Żydów

Zapewne niewiele osób przychodzących na niedzielną mszę do kościoła oo. Franciszkanów wie, że także wtedy przemycano żywność.

Na tablicę pamiątkową prawie nikt nie zwraca uwagi. O wojenny mur pytaliśmy kilkunastu mieszkańców. Odpowiedziała tylko pani Janina.

– Tu większość wprowadziła się w latach 50. ubiegłego wieku. Czasy wojny przeżyli gdzie indziej – opowiada pani Elżbieta, która przetrwała zyskę na Syberii. Obrazków, które opisywał reporter z getta Perrec Opoczyński, nie ma kto pamiętać.

Pisał tak: „Kilka domów na Koźlej oznaczonych parzystymi

numerami zamieszkiwali chrześcijanie. Wejścia i bramy od strony Koźlej zamurowano. Chrześcijanie wchodzili do budynków od drugiej strony, od ulicy Freta, która znajdowała się poza gettem. Okna niektórych tylko mieszkań wychodziły na Koźlą. Było to błogosławieństwo nie tylko dla owych kilkorga gojów zajmujących te lokale, ale i dla Żydów, i to nie tylko z uliczki Koźlej – zarówno dla tamtejszych szmuglerów, jak i dla Żydów z całej Warszawy”.

O tym, że kiedyś na Koźlej i Freta panowały gwar i tłok, wie niewielu. – Panie, dziś się tu nic nie dzieje, sami starzy mieszkają – narzeka pani Janina.

Wysokość: 3.15

Zdecydowanie więcej świadomych przeszłości i młodszych jest na Woli. Spotykamy ich w podwórku między Złotą i Sienną. Czasem przychodzą tu na papierosa uczniowie dwóch pobliskich liceów. W to miejsce wzrok nauczycieli nie sięga. – Wiemy, co to za mur, w szkole dużo o tym mówimy – opowiadają Tomasz i Szymon.

Gęsto zabudowane podwórko podzielono ścianą w 1940 roku. Pozostały po niej fragmenty i ślady, które dostrzegają tylko uważni obserwatorzy. Jej zarys zaznaczono na bruku. Czerwona farba na narożniku niedalekiego budynku pokazuje wysokość, do której kładziono cegły.

– Kiedyś mur stał także przed oknami mojego mieszkania, ale nie podobał się części mieszkańców, bo zagradzał przejście, więc go rozebrano – mówi 90-letni Mieczysław Jędruszczak, od lat walczący o zachowanie pamięci o wojennej przeszłości tego miejsca. – Dom, w którym zamieszkałem w 1950 r., był już w getcie. Budynek kilka metrów dalej stał po aryjskiej stronie.



***Janina Dziekońska mimo 88 lat jest nad wyraz energiczna. Pamięta, jak ulica Freta pełna była Żydów handlujących m.in. śledziami i ogórkami. Teraz na Starówce drażni ją brak ruchu**

W zaułki między kamienicami nie docierali Niemcy. Kapuście i folksdojczyce też nie mieli ochoty tam zaglądać. A bramy przejścia, wychodzące z jednej strony na „aryjską” Złotą, z drugiej – na przynależną do getta Sienną, dawały szansę szybkiej ewakuacji.

Towary przetrucano ponad murem. Mierzył 3 m 15 cm wysokości. Ale też – jak podejrzewa pan Mieczysław – mogły być transportowane podkopy.

Zgadza się to z relacją Opoczyńskiego: „W nocy szmuglowano się przez dachy domów, wąskie dziury i nawet przez sam mur getta (...) w dzień szmugiel odbywał się w znacznie prostszy sposób, choć nie bez forteli i sprytnych pomysłów (...)”.

– Widzicie tę ścianę – mówi Teresa Rogala z domu

Garszko, 78-letnia wilnianka, która przyjechała do stolicy z drugą turą repatriantów. Od lat jest samozwańcym przewodnikiem po podwórku, którym interesują się ludzie z całego świata, ale warszawiaków przyciąga tylko sporadycznie.

Patrzmy na ceglana ścianę, wysoką na dobrych 10 m. Dzięki staronom Mieczysław Jędruszczakowi zawisły na niej okolicznościowe tablice. – To tyły budynku gospodarczego – podkreśla Rogala.

Mur był dużo niższy, co zaznaczył pan Mieczysław, malując na budynku białą linię i cyfry: „3.15”. Farba jest jeszcze widoczna. Na razie.

Od lat dba o nią pan Mieczysław. – Co będzie, jak mnie zabraknie? – pyta.



chu, nie oglądając się za siebie – wspomina Skrzyński, który wcześniej jeździł już rowerem po Afryce, ale nigdy nie zapuszczał się za równik.

Powrócisz tam

Paradoksalnie Kazimierz Nowak podróżując przez Rodezję, czyli dzisiejsze Zimbabwe, miał łatwiejsze zadanie niż jego „uczniowie”. Jechał głównie trasą, która była drogą techniczną przy budowie kolei. Wówczas była to główna droga łącząca Victoria Falls w Rodezji Północnej (dzisiejsza Zambia) z Bulawayo. Po potężnej powodzi, która nawiedziła te tereny w latach 60. zeszłego stulecia, z drogi prawie nic nie zostało oprócz dwóch rozjeżdżonych kolein piachu. – Przez kilka dni rzeczywiście jechaliśmy tą drogą, a nawet torami po podkładach. Docieraliśmy do tych stacji kolejowych, o których pisał Nowak – wspomina uczestnik wyprawy.

Raz, dwa razy dziennie ekipę mijal jakiś pociąg. Dlatego w końcu zdecydowaliśmy się jechać nową drogą, biegnącą równoległe ok. 40 km od torów.

Gdy rowerzyści dotarli do RPA, stosunek do nich zmienił się diametralnie. Lata apartheidu dały o sobie znać. Nie budzili zainteresowania w wioskach. W miastach nierzadko ktoś ich przeklął, jedynie ciepło witali ich Burowie, czyli potomkowie Holendrów i Belgów. Zupełnie inaczej na RPA patrzy

Eliza Czyżewska, która ruszyła do kolejnego etapu podróży. – Miało być niebezpiecznie, a było cudownie. Bezproblemowi ludzie pomagali nam na każdym kroku.

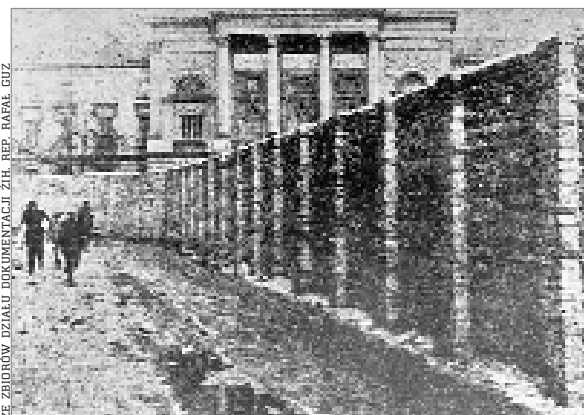
Eliza, na co dzień pracowniczka firmy consultingowej, jechała z Johannesburga do Przylądka Igielnego. – Najtrudniej było, gdy jechaliśmy w stronę oceanu. Wiało nam prosto w twarz przez 28 dni. I to tak mocno, że nie byliśmy w stanie przejechać więcej niż 30 km dziennie – wspomina.

Do tego cały czas pokonywała mniejsze lub większe wzniesienia. W końcu, mając w nogach 1694 km, stanęła na krańcu Afryki, w miejscu, w którym stykają się dwa oceany.

Co się czuje w takim momencie? – Smutek, że to koniec, że przyjedzie następna ekipa i trzeba będzie oddać rowerki – odpowiada. – Teraz nie wyobrażam sobie innego sposobu na zwiedzanie świata.

Do Afryki obiecuje wrócić. Podobnie jak inni. Piotr Romejko już uczy się arabskiego, by pojechać rowerem przez Algierię, Norbert właśnie wrócił z deszczowej i gorącej Angolii. – Między jednym etapem a drugim w Polsce byłem 100 dni. Kto wie, ile wytrzymam tym razem? – zastanawia się.

Do projektu może przystąpić każdy. Teraz trwa przeprawa przez Angole, a poszukiwani są chętni do przemierzenia Kongo. Tym razem piechotą. ■



***Mur getta biegł tuż przy pałacu Mostowskich...**



***Dziś w tym miejscu są chodnik i parking samochodowy**